

Jan Rokita: Szela

Kiedy spaceruję teraz w podobny, jak wtedy, śnieżny dzień, to tu, to tam, wokół pobliskich miejsc, gdzie dokładnie 180 lat temu działały się „krwawe zapusty”, to wiem już, że przez lata nie potrafiłem zrozumieć natury tamtych zdarzeń. W liceum i na uniwersytecie była cos mowa o wyzysku i nienawiści klasowej, a także o zaczynającym się od Kościuszki i rewolucjonistów procesie emancypacji i unarodowienia chłopów galicyjskich.

W 1846 roku Środa Popielcowa przypadła na dzień 25 lutego, tydzień później niżli teraz, więc też całe zapusty były o tydzień późniejsze. Tłusty Czwartek wypadł zatem 19 lutego i ta właśnie data figuruje na tablicy nad drzwiami do kapliczki, wzniesionej w 1860 roku staraniem Ludwiki z Boguszów Gorayskiej w miejscu dołu cmentarnego, do którego tutejsi chłopci zrzucali odarte z ubrań ciała zamordowanych okolicznych dziedziców, w tym całej rodziny Boguszów – zatłuczonej we dworze w Siedliskach, niedaleko galicyjskiego Brzostka. Smukła neogotycka kapliczka widoczna jest z oddali na tle płaskiego siedliskiego cmentarza, tak samo nijakiego, jak wszystkie współczesne wiejskie cmentarze. Uwagę przyciąga postawiony odrębnie nagrobek 14-letniego Włodzia Bogusza, który ponoć przyjechał do Siedlisk z matką parę dni wcześniej na imiennicy swej babki. Gdy chłopska wataha, dowodzona przez Jakóba Szelę, zaczęła zabijać całą rodzinę, Włodzio ukrył się w wychodku, jednak wydała go służąca, więc chłopci wyciągnęli go i zatłukli cepami przed domem. Zdarzenia te miały

miejsce w piątek, w kulminacyjny dzień zachodnio-galicyjskich „krwawych zapustów”. Dziesięć lat temu, w 170 rocznicę „krwawego piątku”, w Siedliskach odbyła się nawet jakaś uroczystość pamiątkowa.

Moja wyobraźnia tamtych zdarzeń, dotąd żywiąca się jedną pamiętną sceną z „Wesela” Andrzeja Wajdy (jak Szela prosi Dziada o wodę, aby „ręce myć, gębę myć”, ale zdejmując czapkę i nagle rozumie, że strumień krwi spływający po jego czole jest niezmywalny) wzrosła i urealniła się, odkąd życie zaniósło mnie parę lat temu właśnie w te okolice. Tutaj koło mnie, prawie pod Bieszczadami, scenariusz tamtych dni wyglądał trochę inaczej. Na Ziemi Sanockiej tajny Rząd Narodowy ogłosił niepodległościowe powstanie, które próbowano zacząć w sobotę 21 lutego, z małym spóźnieniem, gdyż rozkazy z Krakowa nie dotarły na czas. W każdym razie w sanockim cyrkule znano termin powstania, więc starosta Ostermann zawczasu uruchomił przez swoją agenturę chłopskie watahy, aby te splądrowały dwory, a polskich dziedziców powiązały i dostarczyły do cyrkułu. Patrząc z perspektywy historii nie obyło się bez scen polskiej tragigroteski. W bliskiej mi skądinąd (choć nie przez pochodzenie) wsi Górki tutejszy dziedzic Antoni Morelowski, chyba mocno zaangażowany w ruch powstańczy, zebrał w sobotę rano chłopów i ogłosił im znoszący pańszczyznę Manifest Rządu Narodowego, wzywając do wspólnego z szlachtą wystąpienia przeciw okupantowi. Rychło się jednak połapał po czyjej stronie są jego chłopci, więc zdążył jeszcze uciec ze stworzonego przez siebie oddziału, szukając ocalenia w... sanockim cyrkule. Sławnego rewolucjonistę Juliana Goslara, wysłannika Rządu Narodowego i autora „Nowej Ewangelii do ludu polskiego”, chłopska wataha dopadła na plebanii w Haczowie, gdzie bili go cepami zawzięcie, aż doszli do wniosku, że już jest trup, więc zawieźli do cyrkułu. Cudem przeżył (choć wkrótce i tak został powieszony w Wiedniu), no i stąd wiemy, iż on – idealistyczny wielbiciel prostego ludu nie odważył się „strzelać do ludu, choć miał

przy sobie nabite dwa dubeltowe pistolety”. Oczywiście, zarówno wyzwalający ich Manifest, jak i „Nową Ewangelię” chłopci solennie dostarczyli do cyrkułu.

Arcyciekawa jest przechowywana w Ossolineum relacja Jana Laskowskiego, dzierżawcy majątku w pobliskiej wsi Prusiek, do którego w sobotę, w czasie zamieci śnieżnej, przyjechał wójt Andrzej Mołczan, z uzbrojoną w cepy i widły obstawą, po to by przeszukać dwór i zabrać broń, gdyż „dzisiaj ma być rewolucja”. Laskowski zapytał go, czy wie co to jest rewolucja, na co ów odrzekł, że nie wie, ale robi wszystko na polecenie starosty Ostermanna. Zabrali więc ze dworu szable i pistolety oraz dworskiego kucharza, a dzierżawcy kazali nie ruszać się z domu. Dwa dni później na dwór napadła wataha „koło stu chłopca, zbrojnych w kosy, cepy, pałki, szable i dubeltówki”. Laskowski walnięty cepem w głowę na początek, kiedy usłyszał hasło „zabij!”, zaczął się bronić, dzięki czemu ocalił życie i okrwawiony został zawleczony na sanie. Na prowadzącym do Sanoka cesarskim gościńcu czekała już na takie „konwoje” chłopska ścieżka zdrowia: po obu stronach gościńca „stali chłopcy z cepami, drągami i każdego jadącego bili, że krew całą drogę zalała” – chłodno relacjonuje dzierżawca Laskowski, któremu udało się przeżyć (choć został kaleką) dzięki żołnierzom austriackim. Jak czytam tę relację, przypomina mi się inna, a zarazem jakże podobna opowieść żydowskiego chłopca, ukrywanego w czasie niemieckiej okupacji na strychu domu w Makowie Podhalańskim, obserwującego przez dziurę w desce, jak okoliczni chłopcy dowożą na furmankach do „punktu skupu” ładnie powiązanych w snopki po trzech Żydów, gdyż dopiero za trzech Niemcy płacili po litrze wódki. Tym chłopcem, który okropnie nie lubił opowiadać tej historii był wielki artysta Piotr Skrzynecki.

Kiedy spaceruję teraz w podobny, jak wtedy, śnieżny dzień, to tu, to tam, wokół pobliskich miejsc, gdzie dokładnie 180 lat temu działały się „krwawe zapusty”, to wiem już, że przez lata nie potrafiłem zrozumieć natury tamtych zdarzeń. W liceum i na uniwersytecie była cos mowa o wyzysku i nienawiści klasowej, a także o zaczynającym się od Kościuszki i rewolucjonistów procesie emancypacji i unarodowienia chłopów galicyjskich. W niczym nie wyjaśniało mi to, dlaczego okoliczni chłopci uważali austriackiego starostę Ostermanna za swego, a tak nienawidzili wszystkiego co polskie? Eureka przyszła wraz z wydaną w roku 2012 książką Michała Łuczewskiego „Odwieczny naród”, do której ciągle powracam, bez której nie mógłbym zrozumieć współczesnej Polski, i która – dwoma słowy – jest jedną z moich „Great Books”. W owym potężnym studium świadomości narodowej chłopów małopolskiego autor przekonująco dowiódł dwóch kluczowych tez. Najpierw, że polskojęzyczny lud galicyjski zyskał świadomość narodową całkiem niedawno, po trosze na początku XX wieku, za sprawą księży zaangażowanych w endecję i ruch ludowy, a na dobrą sprawę dopiero po II wojnie, pod przemożnym wpływem ludowego katolicyzmu i narodowo-religijnych kampanii, organizowanych przez prymasa Wyszyńskiego w latach PRL-u. A w konsekwencji, iż polskość ludu, co najmniej w tej części kraju, która dziś uważana jest za ostoję tradycyjnego patriotyzmu, narodziła się i trwa nadal tylko dzięki nierozzerwalnej więzi z katolicyzmem. Dzięki badaniom i socjologicznej syntezie Łuczewskiego pojąłem, że ani Szela, ani wójt Mołczan, ani mordercy z chłopskich watah nie tylko nie byli w żadnym sensie Polakami, ale przede wszystkim nie myśleli o samych sobie jako o Polakach, choć mówili polszczyzną i byli katolikami. „Krwawe zapusty” były więc w tamtym czasie jeszcze jednym aktem obcej przemocy ze strony metternichowskiej Austrii i zamieszkujących Galicję obcych narodo-wo ludzi „cesarskich”. Nie dziwota, że organicznie nie cierpiący

polskości ksiązę Metternich zamówił sobie portret Szeli, który kazał powiesić w swej letniej rezydencji w czeskim Pałacu Kynzvalt. Polonizacja „cesarskich” przyszła później, za sprawą unarodowionego (czasem aż do przesady) Kościoła.

Przeczytaj również: Metternich. Maestro koncertu mocarstw [TPCT 428]

W jakimś sensie to był także przewrót w moim rozumieniu współczesnej polskości. Wbrew pozorom, hitlerowcy i bolszewicy skutecznie zniszczyli dawną formę polskości wraz ze zniszczeniem ziemiańskiego dworu, a w końcu także polskiej „burżuazji”, czyli zawsze słabej i naskórkowej w Polsce warstwy mieszczańskiej. Tyle, że w tym samym czasie kraj zaludnili nowi chłopscy Polacy, którzy polskość utożsamili z endeckim modelem religii. W 1989 roku Polska odrodziła się jako nowy naród chłopski, który pod wpływem gwałtownych przemian kultury zaczął się dzielić na dwa coraz bardziej nieprzyjazne nawzajem sub-plemiona: tych, którzy trwają przy swej narodowo-katolickiej polskości, mitologizując ją, jako „rzecz odwieczną” (co świetnie pokazały badania Łuczewskiego), oraz tych, którzy ulegają pokusie radykalnego odcięcia się od takiej polskości, pod presją wielkomiejskiej popkultury, przymuszającej wyemancypowanego chłopca do zawstydzenia się własną, rzekomo teraz „cringe’ową” tożsamością. Chłopskie Podkarpacie i chłopski Wilanów bardzo się dziś nie lubią, ale są w gruncie rzeczy podobne, gdyż wyrastają z tego samego pnia. Dlatego i jedni i drudzy na gwałt szukają swej tożsamości w chłopskiej przeszłości, mitologizując ją, albo wręcz fałszując dla swoich tożsamościowych zapotrzebowań.

Efekt dobrze znany: nieoczekiwanie Szela stał się protagonistą, gwiazdą, albo i wręcz herosem naszych dziejów. Tej gruntownej rewizji krwawego upiora, wrogiego wszystkiemu co polskie, rodem z „Wesela”, podjął się jako pierwszy już przed stu laty poeta-bolszewik Bruno Jasieński, ale jego wpływ okazał się słaby, gdyż wtedy istniały jeszcze resztki „autentycznej” starej Polski ziemiańskiej. Nawet polscy komuniści, gdy z woli Stalina objęli władzę nad Polską, rychło porzucili myśl o historycznym uobywatelnieniu Szeli, choć czynili tak z różnymi innymi zbrodniarzami. Wielka dziejowa przygoda przydarzyła się Szeli dopiero ostatnimi laty i mam wrażenie, że walnie przyczyniła się do tego jedna książka: opublikowana w 2019 roku fantazja-baśń pióra Radka Raka. Trzeba przy tym przyznać, że Szela miał po śmierci sporo szczęścia, zajął się nim bowiem najpierw wybitny poeta-futurysta, a później utalentowany i nagradzany pisarz-fantazjusz. Jasieński, w fascynującym poetycko trzyczęściowym poemacie, upozował mordercę z Siedlisk niemal na prawdziwego Iwana Karamazowa; Szela świętokradczo przegania z tego świata Pana Jezusa, wołając doń:

*Nam ta swego rajy nie raj,
z łzyś go zlepił naszej!
Idźże lepiej je pozbieraj
i na kubrak naszej.
Białe rączkiś przykrył komżą,
nie splamiłś ich pracą.
Dzisiaj chłopcy takich wiążą,
tylko gdzie zobaczą.*

A ludobójczą zbrodnię, dokonaną na Polakach za metternichowskie pieniądze, która przerażała Wyspiańskiego, czy Żeromskiego, opiewa jako najdoskonalszy taniec, jaki przystoi właśnie ludowi:

*Tańcowali piątą noc,
runął dwór jak zgniły kloc.*

*Tańcowali rach-ciach-ciach
i po drogach, i po wsiach.*

*Tańcowali ząb o ząb,
z sieni oknem i na klomb.*

*Tańcowali z góry na dół,
coraz któryś w tańcu padał.*

*Tańcowali raz po raz
chłopska kosa, pański pas.*

*Od ogródka do ogródka
ciekła rowem krew jak wódka.*

Z kolei Rak w swej zgrabnie napisanej fantazji przekształcił Szelę na nietzscheański, immoralistyczny sposób we wcielenie jakiegoś odwiecznego gniewu Matki-Ziemi, wydającej z siebie najstraszliwszego potwora – Tyfona o węzowym sercu, który wprawdzie przegra i zostanie strącony w głębiny wulkanu Etna (czyli do bogatego gospodarstwa na Bukowinie), ale zionąc będzie zawsze ogniem buntu wobec niesprawiedliwości i podłości ludzkiego świata. W ten sposób Szela stać się ma dla naszych nowych chłopskich Polaków (po obu stronach sporu o katolicyzm) figurą mitologiczną i ponadludzką, niczym jakiś rodzimy popkulturowy i zmieniający swe oblicze Gandalf, albo jeszcze jeden z Rycerzy Jedi. Nic dziwnego, że za fantazją Raka posypały się popkulturowe sztuki teatralne, recenzje i artykuły, a nawet koszulki z wizerunkiem mitologicznego herosa, które w sieci można kupić za 135 złotych. A przecież w tworzącym się ciągle, wyrwanym z tradycji imaginariu nowej chłopskiej polskości – to zapewne dopiero początek oszałamiającej kariery cesarskiego nie-Polaka, mordercy i metternichowskiego agenta Jakóba Szeli.

Jan Rokita

fot. Alex Kuhn / ArtService / Forum

Przeczytaj również: „Z podbieszczadzkiej wsi” – felietony Jana Rokity w Teologii Politycznej